

Gregory Holmes
[TCB] [Crossover] [Dark]
Autor: miskof

Długi, szpitalny hol był rozświetlony świetlówkami o lodowatej barwie. Na piętrze nie było nikogo, oprócz jednego nieszczęśnika, któremu przypadł nocny dyżur. Oczywiście miał ludzi od tego i mógł spędzić tę noc w domu, jednak po ostatnim przekręcie komisja lekarska dodała mu właśnie taki obowiązek. Nienawidził ludzi, a najbardziej tych nadętych bufonów, którzy nie zrozumieli, że potrzebuje serca do przeszczepu właśnie w tej chwili. To, że pacjent się do niego nie kwalifikował, było tylko małym szczegółem...

Ból nogi nie ustępował. Gregory przycupnął na pobliskiej ławeczce i wyjął z kieszeni fiolkę Vicodinu, obrócił ją w palcach kilka razy, później zażył dwie pastylki specyfiku. Świat zwariował... Jako diagnosta mógł walczyć z chłoniakiem, sarkoidozą czy niewydolnymi nerkami, a nie z jakąś cholerną magią. Powiadają, że ponifikacja leczy wszystkie choroby. Dla pewnej części społeczeństwa jest to bardzo atrakcyjna oferta. Sam Gregory rozpatrywał taką ewentualność, ale znając życie, przeniósłby wtedy swoją nienawiść z ludzi na kuce.

Rozmyślenia House'a przerwał odgłos tłuczonego szkła na oddziale położniczym. Bez zastanowienia ruszył w kierunku hałasu. Korytarz za zakrętem wypełniał gęsty dym. Gregory podszedł do panelu umieszczonego na ścianie, zbił laską szybką ochronną i wcisnął przycisk z plakietką "POŻAR". Był pewien, że to nie ogień jest źródłem dymu, jednak wszczęcie alarmu nie zaszkodzi. Gdy dotarł do drzwi porodówki, był już przemoczony do suchej nitki.

Nie spodziewał się tego, co zobaczył po drugiej stronie. Cały oddział był teraz ruiną. Zmienił się nie do poznania w zaledwie kilka chwil. Nie zastał tam "włamywaczy", wszystkie pokoje wypełniał jedynie świst wiatru i szum deszczu. Jego uwagę przykuł kawałek materiału nabitego na ostry, szklany sopel. Był to bez wątpienia fragment stroju jednego z przybyszy. Dostrzegł na nim dość osobliwy emblemat. Zamyślił się... Poczł po chwili silne uderzenie w plecy i piekące ukłucie w okolicy karku. Upadł na podłogę.

– Pan pozwoli, ale to chyba należy do mnie – rzekł napastnik, wrywając magią skrawek materiału z dłoni House'a.

– Chętnie bym został i pogawędził, niestety czas mnie goni. Adieu! – Rozpędził się i wyskoczył przez okno.

Gregory nie mógł się ruszyć. Jego usta wypełniała słodycz, a rozmazujący się w oczach obraz, pokrywał się czerwienią. Na pograniczu świadomości usłyszał tylko:

– House, House! Patrz na mnie, nie zasypiaj! House, mów do mnie! House...!

* * *

Uwielbiał swój gabinet. Może tutejszy klimat nie odpowiadał mu tak, jak ten w Equestrii, jednak w ojczyźnie nie mógł liczyć na takie luksusy. Dochodziła godzina trzynasta. Rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu i włączył telewizor na kanale informacyjnym:

"Oddział ginekologiczno-położniczy szpitala Princeton-Plainsboro był kolejnym celem ataku terrorystów z POZ. Uprawdono piętnaścioro niemowląt. Jak podaje nasz wywiad, ofiary są natychmiastowo ponifikowane i zsyłane do Equestrii. Cztery osoby zostały

poszkodowane, w tym jedna poważnie ranna. Napastnicy działają bez bliżej określonego planu. Porodówki w całym hrabstwie są od teraz pod nadzorem służb mundurowych... Przenosimy się do Andrei, która..."

Turret cisnął pilotem o ścianę, telewizor momentalnie wyłączył się. Nacisnął przycisk uruchamiający interkom.

– Wszyscy do mnie, natychmiast! – krzyknął, nie ukrywając wściekłości.

Gdy członkowie należący do drużyny znaleźli się w gabinecie szefa i drzwi zostały zamknięte, zaczął mówić:

– Skończeni idioci, ile razy powtarzałem, że macie nie zostawiać śladów!? Jesteście albo niewykrywalni, albo eliminujecie potencjalne cele. Księżniczka na nas liczy i ufa nam, jej zawieść nie możemy! Macie szczęście, że o wszystko podejrzewają "terrorystów" z POZ. Musimy utrzymać ich w tym przekonaniu jak najdłużej. Jeśli nikt nie znacznie węszyć, będziemy mogli działać bez najmniejszych problemów. - Tutaj zrobił przerwę i przebiegł wzrokiem po podwładnych.

– Proszę stawić się u mnie ponownie za trzydzieści pięć minut, kolejna robota czeka!

* * *

Powoli otworzył oczy. Nim ostrość widzenia osiągnęła zadowalający poziom, słyszał w głowie szum i pracę pulsoksymetru, którzy zapewne monitorował jego stan. Dalej znajdował się w szpitalu, to jak spaść z deszczu pod rynną. Na krześle obok dostrzegł drzemiącego Wilsona. Próbował się podnieść na łóżku, ale od razu syknął z bólu. Zbyt mocno poruszył głowę. Jego przyjaciel ocknął się:

– Żyjesz... Nie rób mi tego więcej – rzekł Wilson z uśmiechem na ustach.

– No konie nieczęsto atakują biednych lekarzy, którzy za karę dostają nocny dyżur – odparł Gregory z grymasem na twarzy, po czym dodał – masz?

– Mam. – Wilson rozejrzał się dookoła i podał House'owi fiolkę z Vicodinem.

– Dzięki, słabymi lekami tutaj karmią – powiedział i połknął dwie pastylki.

– Wiesz co się dzieje? – zaczął James. – POZ porywa niemowlaki ze szpitali i hurtowo ponifikuje je. Ja rozumiem, to jest jak wojna, ale nawet w czasie jej trwania ustalone są jakieś zasady. To jest po prostu niehumanitarne...

– Wilsonie, to nie są ludzie i nie POZ macza w tym palce – wtrącił się Gregory.

James nieco się zdziwił, kto zatem stoi za tymi wszystkimi porwaniami? Aktualnie nie dostrzegał sensu w takim rozumowaniu, ale wiedział, że z intuicją House'a nie ma co się spierać.

– Pomóż mi wstać – nakazał diagnosta.

– Oszalałeś? Przecież ledwo co uciekłeś śmierci spod kosi i już ci się spacerów zachciało?

– Nie mogę tutaj tak leżeć, mam sprawę do rozwikłania.

– A więc teraz będzie zabawa w detektywa? Przecież jesteś diagnostą, a nie Holmesem.

– Diagnosta to też detektyw, ale działa na nieco innych wodach – powiedział House z uśmiechem na ustach. Wilson zmierzył go niejednoznacznym spojrzeniem.

– Dobra, żartuję, nie chodzi tutaj ani o dzieci, ani o tę całą wojnę, chodzi o mnie. Nie będzie stąpał bezkarnie po tej ziemi żaden dupek, który chciał mnie zabić. – Gregory

mówił to całkowicie poważnie. James znał już swojego przyjaciela wystarczająco długo i czuł, kiedy jego słowa są szczerze.

– No niech będzie, tylko uważaj na schodach, bo poprzednia ucieczka ze szpitalnego łóżka nie skończyła się najlepiej – onkolog zaśmiał się.

Panowie opuścili salę i skierowali się w kierunku wyjścia. Gdy mijali pielęgniarkę, ta nie zdążyła zareagować, Wilson przejął inicjatywę:

– Idziemy na spacer.

– Tak, jest środek nocy, ale idziemy się przewietrzyć, Kocham tlen – dodał House z nutą sarkazmu w głosie.

Gdy upakowali się do samochodu, James zapytał:

– To gdzie teraz... detektywie?

– Jedź do mnie, muszę pokazać ci pewien szkic, od tego zaczniemy.

Dzisiejsza noc była piękna, a za samochodem poruszał się tajemniczy cień.